POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX Warszawa, dnia 12 Listopada 1927 roku Nr. 46

ANDRZEJ STRUG

9) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Już znikły góry przekąsek, sałatek, grzybków i pasztetów, marynat, gorących i zimnych frykasów. Poszły wniwecz stylowe kulebiaki. Wódka płynęła szybko-mknącym wezbranym nurtem, każdy nalewał sobie i sąsiadom, bo zalatani ordynansi ledwie że nastarczyli wynosić puste butelki i stawiać nowe. Rozległe drewniane domostwo huczało od tęgich głosów i jarzyło się od blasków, świecąc w czarnej nocy listopadowej wszystkiemi oknami na cztery strony świata, jak olbrzymia latarnia. Pod nieosłoniętemi oknami wałęsały się grupy ułanów, a od tyłu pod kuchnią murem stał tłum bab i wszelakiej zbieraniny, czyhając na niedojadki, ochłapy i dary, które jeszcze nie zaczynały się trafiać, gdyż kucharze i ordynansi byli jeszcze zbyt przeciążeni pracą i zanadto jeszcze narazie trzeźwi. Trębacze od czasu do czasu odzywali się, grzmiąc w sieni i zawadzając nieznośnie zalatanej służbie. Wkrótce wystawiono ich na dwór wraz z butlą wódki na rozgrzewkę. W trzech głównych izbach goście tłoczyli się, powbijani szczelnie za stoły, unieruchomieni, bez żadnej nadziei odwrotu. Pozdejmowano z zawias drzwi, dzielące izby i drzwi od sieni, wytwarzając niejaką wspólnotę między stołami. W największym pokoju pod dwoma frontowemi oknami usadzono gości honorowych. Prezydował Puzo z obliczem nalanem radością i uroczystem namaszczeniem. Od czasu do czasu macał się od niechcenia po lewej piersi i ukradkiem zerkał na swoje Virtuti, które otrzymał dopiero dziś przed samym wieczorem. Z chwilą gdy siadał do stołu, ostatnią przyciszoną klątwą pożegnał wszystkie kłopoty, zawody tego dnia, oddał się całkowicie kawalerskiej ochocie, gościom, obżarstwu i wódce.

— Czort ich dieri — obędzie się bez generałów! Do djabła z francuzami, można i bez francuskiej przyprawy i zjeść i dobrze wypić....

Święto pułkowe, pierwsze w dziejach pułku, a obchodzone w drugą rocznicę zapoczątkowania jego formacji, nie wypadło tak wspaniale, jak to było zamierzone i spodziewane. Z dowództwa grupy przybył tylko posępny austrjak, sztywny podpułkownik Moldeskul, zastępca szefa sztabu i kilku jakichś podrzędnych kapitanów. Nie dopisali starzy przyjaciele, wezwani rzekomo do Baranowicz, do dowództwa frontu. Dowódca dywizji przysłał adjutanta i dwuch komendantów pułków piechoty. Z Dołżyńskich francuzów nikogo!

Pułk od dziesiątej rano stał w polu i marzł na wietrze, zanim dopiero około trzeciej delegacja grupy dotrzęsła się do Sitowicz po strasznej grudzie na zarekwirowanych po drodze podwodach. Samochód im utknął na bystrowskiej grobli — dobrze im tak, sztabowcom, zawsze lubią wygody, a nie mają zielonego pojęcia o terenie. Naturalnie, musieli się ogrzać, odpocząć, zjeść i wypić. Przegląd pułku zaczął się około czwartej. Defilada wypadła nędznie, konie nie miały żadnego ognia, a ułani skostniali i przewiani nawskroś ledwie się trzymali w siodłach. Dekorowanie odznaczonych podpułkownik zbył bez żadnego namaszczenia, sucho i urzędowo; Virtuti poza komendantem pułku dostało czterech oficerów, dwuch podoficerów i jeden szeregowiec. Krzyż Walecznych—cała kupa — a przytem żadnej mowy. Austrjak robił wszystko jak nakręcony manekin, ani pisnął słowa, ani się z kim pocałował, ani się do kogo uśmiechnął — „czuczeło" austrjackie i tyle.

Ale mimo przykrego zawodu, żeby nie powiedzieć, skandalu, gości było huk. Nie raczyła generalicja, nie raczyli francuzi, ale za to przywalili całą kupą morowcy z konnej baterji, aż z za Strui — siedemdziesiąt kilometrów! Przybyli na czas, na godzinę i minutę i o wpół do dziesiątej rano już tu byli najdrożsi koledzy, konni strzelcy. Wczoraj przed wieczorem wyruszyli od siebie z Małych Pasiek i po całej nocy marszu na wietrze i mrozie z małym po drodze popasem zameldowali się z całą fantazją konno i zbrojno, że rozkosz było patrzeć. Wraz z nimi objawili się dwaj przygodni lotnicy, pilot i obserwator, którzy lądując we mgle porannej, wmeldowali się do lasu pod Pasiekami, pocharatali aparat i powracając do swojej dalekiej bazy, zabrali się ze strzelcami. I jeszcze jacyś przybłąkani, nieproszeni i jacyś bliżej niewyjaśnieni przejezdni dwaj kapitanowie — każdego i wszystkich witano otwartem sercem i wódką, szczerą a mocną, jak to serce żołnierza.

Ucztowali w serdecznym ścisku, bez żadnych ceremonji, jedli po dwóch po trzech z jednego talerza, pili z jednej szklanki. Siedzieli na ławach, na beczkach, na skrzyniach, półmiski, czyli zwyczajne miski tudzież ordynarne kopiaste donice krążyły z rąk do rąk, gdyż w tej ciasnocie należyta obsługa była wręcz niemożliwa a nawet żadna. Humory były wspaniałe i wzmagały się z każdą chwilą. Gwar głosów, nawykłych do komendy w polu, huczał i przelewał się kaskadami zdrowego śmiechu.

Kipiała młodość tęga, beztroska i urocza w swej rozwydrzonej swobodzie. W naczelnej izbie u honorowego szczytu stołu starsze szarże zachowywały jeszcze jaką taką ceremonialną sztywność, ale i tu Puzo czynił już pewne wyłomy, porwany swym wściekłym temperamentem i radością nie dającą się pohamować. To ośmieliło poniekąd młodszą brać, zaszczyconą dostojnem sąsiedztwem majorów i podpułkowników. Ale

w dwuch pozostałych izbach nieliczni rotmistrze i porucznicy tonęli w masie szczenięcych panów podporuczników. Tam już się rozpętywał należyty kawaleryjski gwałt i rozruch. Coraz wyrywał się któryś ze śpiewaniem, podchwytywanem natychmiast, jak na komendę. Wówczas wpadał adjutant Braun, który w tym tłoku i zamęcie czuwał nad wszystkiem i z punktu uśmierzał przedwczesne wybryki.

— Halt!... . Czekać, aż odejdą oficjalne przemówienia! Potem możecie sobie ryczeć, stawać na łbie.... Panowie — czy wy jesteście oficerami?

— Tak jest! Co?

— Nie gorsi od ciebie!

— Oficerami? Co za takie pytania- Jesteśmy i....

— Więc nie zachowujcie się panowie, jak banda. Już!

Z kuchni przez otwarte drzwi buchały lukullusowe opary. Coś cudownego się tam piekło i skwarzyło, wiercąc w podnieconych żołądkach, rwących się do bohaterskiej szarży. Śmiała się w młodych oczach niepohamowana pierwotna radość życia, jednaka uciecha ze wszystkiego, co jeno jest. Czuli się tu złączeni niezłomną przyjaźnią na śmierć i życie i wiedzieli, że wszyscy razem, jak tu siedzą przy tych stołach, — co tu dużo gadać — są potęgą. Gotowi byli na alarm natychmiast zerwać się i siadać na koń, gnać w ciemną mroźną noc i biada temu, ktoby im stanął na drodze, niech ich będzie dziesięciu na jednego. Gotowi byli każdej chwili zacząć nową wojnę, ale całem swojem młodem jestestwem odczuwali błogość pokoju i spoczynku, i tej ciepłej izby, i wesołego gwaru, i tego żarcia, i tego picia, i wszystkiego, co się nadarzy jutro, za miesiąc, za rok.... Rozpierała ich duma zwycięstwa i świadomość swojej zasługi. Jeden zrobił więcej, drugi mniej, jedni zginęli, inni unieśli cało głowy, ale któż to, u djabła, zwyciężył, jak nie oni, właśnie tacy, jak tu są w tej budzie wszyscy razem? Kto stoi na straży i daje się zabijać za tę Polskę i za wszystko, co tylko w niej siedzi?.... Za Polskę, która wraz ze swoim sejmem i tak zwanem społeczeństwem, podzielonem na bezsilne kliki, szarpiące na kawałki tę Polskę... Co tu dużo gadać — jeżeli jest gdzie na świecie prawdziwa Polska, to tylko tutaj w ludziach młodych, mocnych i mężnych. Jest ona razem z nimi, jest między nimi — w armji na froncie, a zatem i w tej ciasnej chałupie w jakichciś zatraconych Sitowiczach na końcu świata.... Co tu dużo gadać...

Jakaś niesformułowana a sprawiedliwa pycha łączyła ich wszystkich jakby w jednego jednolitego człowieka, a ten chełpił się i odgrażał się, że niechno tylko... Sprawiało im rozkosz, że siedzą tu między sobą i że niemasz tu ani jednego nędznego cywila. Chwała Bogu....

Ryk zachwytu! Z sionki, prowadzącej do kuchni, wysunęli się dwaj ordynansi, niosąc długą deskę, ustrojoną po brzegach zielenią. Wjechała na niej w spokojnym majestacie odwieczna legenda leśnego jeziora Horocz — szczupak niewiarogodny, niezmierny. Zalany sosem majonezowym, usiany kaparami, obłożony jak klejnotami girlandą wyszukanych smakołyków, przeciskał się z trudem między krzesłami i pomijając zapatrzone i wrzeszczące stoły podporuczników, zmierzał najwyraźniej ku izbie honorowej. Ordynansi dźwigali to ostrożnie, ze skupieniem i z namaszczeniem najwyższem, jak drogiego nieboszczyka. Kondukt poprzedzał adjutant Braun, torując mu drogę i odgryzając się na prawo i na lewo, a mistrz Pijanowski, czerwony i spocony, w niepokalanie białym nakrochmalonym kołpaku, stał w progu i nawołując do ostrożności, czego w tumulcie nikt nie słyszał, wyciągniętemi ramionami zdawał się błogosławić dzieło swoje.

* * *

— Mą szer kapiten, moa ossi żete a la batail a Loos....

— A juin 1915?

— Tak jest. Na fermie Le Routoire.

— C'est surprénant.

— Puszczało się tam ciekawy atak gazowy, jeden z pierwszych w tej wojnie.

— Nadzwyczaj ciekawy. Straciłem wówczas to moje lewe oko, a prawe ocalało cudem.

— To szczególniejsze...

— Stałem we wsi, zwanej u nas „du Philosophe" — na wzgóreczku niedaleko szosy do Loos... Pan major pamięta?

— Jakże... Patrzyłem na ten wzgóreczek przez półtora roku.

— To była wojna, panie majorze, a pańscy niemcy dopiero byli żołnierze!

— Dziękuję bardzo panu kapitanowi za te słowa uznania. My, niemcy, z naszej strony ceniliśmy zawsze nader wysoko...

Patrzyli na siebie z podziwem i z szacunkiem, wspominając tamte czasy nadludzkie i straszliwe. Wydawało się to już teraz dawnym snem fantastycznym, opowieścią, koszmarem i nieprawdą w porównaniu z tą sielankową polską wojną. Ten francuz i major exniemiec po czterech latach tytanicznych walk na śmierć i życie, w których zmagali się ze sobą na oczach całego świata, jeden zwycięzca a drugi pobity, poczuli ku sobie nieprzezwyciężoną sympatję. Odnaleźli się nawzajem w tem osobliwem miejscu, w szerokiem pustkowiu starych pobojowisk, zgliszcz, jezior i bajorów, na egzotycznej pijatyce śmiesznych epigonów wielkiej wojny światowej. Przygarnęli się do siebie, popijali gęsto i utonęli we wspomnieniach.

Puzo był wniebowzięty. Jego potężny bas oszałamiał kulturalnego podpułkownika Moldescula, przedstawiciela komendy grupy, siedzącego po jego prawicy. Raziły go grube żarty i straszliwa, zaprawiana dziegciem polszczyzna. Ale i ten po pięciu wódkach zaczął się uśmiechać na swój sposób, szczerząc złote zęby w wyblakłych wargach i usiłował nawet opowiedzieć jedyną swoją anegdotę, którą zapamiętał był jeszcze ze szkoły kadeckiej — o marszałku Radetzkym, o cygance i o dwuch węgrach. Puzo słuchał z najuprzejmiejszą cierpliwością, zabawiony jąkaniem austrjaka, który z wysiłkiem zbierał do kupy znajome sobie polskie słowa i omaszczał niemi swój chaotyczny żargon.

— To dopiero — co się nazywa — austrjackie gadanie — myślał Puzo, zapatrzony w dal długiego stołu.

Z głębi swej duszy żołnierskiej lubował się tym serdecznym obrazem. Pięknie jest, kiedy pułk stoi na baczność pod sztandarem — cisza, że muchę słychać lecącą powietrzem... Pięknie, kiedy po żmudnej nocnej pracy rozproszone szwadrony ściągają na miejsce wyznaczone w dyspozycji i jeden za drugim wyłaniają się w mętnym przedświcie, a tuż we mgle w miasteczku nocuje nieprzyjaciel... . Śpi i ani mu się przyśni, co na nim wisi. Pięknie, kiedy się grzebie towarzysza broni i pop kadzi, śpiewając basem, a górą jeden po drugim lecą pociski i jęczą, wyją żałobnie... I jakże pięknie, kiedy przy suto zastawionych stołach zasiądą w braterskiej gromadzie panowie oficerowie— honor i chluba narodu, sól ziemi.... Jedźcie na zdrowie, gołąbeczki, bo w was jedyna siła w narodzie..... Pijcie, nie żałujcie sobie, pijcie wódkę-matkę na ochotę rycerską, na kawaleryjską fantazję....

(D. c. n.).

JULJUSZ GERMAN

5)

JACEK

Nieżyczliwy nastrój topniał w warze młodości. Gdy wszyscy przełknęli pierwszą gorycz zawodu, popłynęła ku Jackowi fala burzliwego entuzjazmu. Wzięto go na ramiona i wśród piekielnych ryków podrzucano pod sufit. Tylko dzięki sprawności świetnego gimnastyka wyszedł z tych owacyjnych opałów bez szwanku. Zadyszany, wzruszony, w rumieńcach, przyjmował i odwzajemniał uściski, nie bacząc, od kogo pochodzą.

— Rozstąpcie się, orangutany! Niech i ja się do niego docisnę! — Fanchette, „najpiękniejsza modelka paryska", otulona już skromnie aż po szyję w „prawdziwie wschodnią makatę", torowała sobie drogę w ciżbie, rozdzielając na lewo i prawo małą lecz silną dłonią siarczyste policzki, gdyż młodzi zuchwalcy, korzystając z zamieszania, napastowali hurmem jej urodę teraz, „gdy nie jest już święta, bo nie pozuje".

— Przyjmiesz i odemnie życzenia?

— Tysiąckrotnie dziękuję, Fanchette...

— No, to przy tej całkiem wyjątkowej sposobności może mnie nareszcie pocałujesz? — przegięła kuszącym ruchem na obnażone ramię główkę z krótko obciętemi czarnemi włosami, ułożonemi w „demoniczną fryzurę Hiszpanki", rozchyliła wargi czerwone niczem krew najświeższa.

Usta Jacka ledwo musnęły jej nosek. Drgnęła i uciekła piorunem, ze łzami w ładnych, najniepotrzebniej podmalowanych oczach, mrucząc o „polskim niedźwiedziu, lodowatym nie do wytrzymania".

— Dość! Dość! — darł się Bob. — Rozerwiecie go na sztuki! Zostawcie go, szakale! Niech nabierze tchu na wieczorną bibę!

Z wielkim trudem zdołał uprowadzić Jacka, skacząc susami kangura przez sień, schody, na ulicę. Tam puścili się pędem. Drobnostką było dla Jacka szybkobiegacza nietylko dorównać długonogiemu koledze, lecz i prześcignąć go odrazu. To też Bob wkrótce zaczął sapać i przystanął.

— Bobek, tyczko najdroższa, nie podziękowałem ci jeszcze... Od początku tych moich dwóch lat w pracowni byłeś, ty jeden, zawsze prawdziwym przyjacielem...

— Daj się wypchać z przyjaźnią! Zgoniłeś mnie gorzej psa! Serce spadło mi do żołądka i tam fika! Kaszymoki, ty zwierzę japońskie, ciśnij w kąt wszelkie malarstwo, a zapisz się raczej do koni wyścigowych! Tam twoja przyszłość!

Z samochodu, który raptem przy nich się zatrzymał, wyskoczyła dziewczyna o przebujnych lokach, już nie w białym kitlu, gdzieniegdzie zamorusanym farbami, ale wystrojona Paryżanka, jak z pudełka.

— A ty tu czego, dziewico? — przywitał ją Bob surowo.

— Chciałam koniecznie jedno słowo Jackowi... Tam nie dali mi się zbliżyć ci krzykacze...

— Słuchaj — Bob wpadł w ton uroczysty. — Nazywasz się Maren Liljenkron... jakem uczciwy Francuz, można się udławić temi waszemi nazwiskami.... nosisz przydomek „bladej hrabiny" i jesteś podobno najbardziej autentyczną panną. Pozatem masz stanowczo za dużo włosów na twoim małym łebku, humorystycznie małą buźkę i oczy wymyte za niebiesko jak lalka z kopenhaskiej porcelany, co jest zresztą w porządku, zważywszy, że jesteś Dunką z Kopenhagi. Wogóle typek djablo dziwaczny, ani ładny ani brzydki, aczkolwiek wcale przyzwoicie zbudowany, o czem niestety nie mogłem dotychczas dokładnie się przekonać Z tem wszystkiem kocham się w tobie, jak ostatni idjota i mówię ci po raz setny, przy Kaszymokim się nie pętaj, bo nic ci z tego nie przyjdzie, dziewczę bezrozumne!

— Ach, Bob, dobrześ o sobie powiedział — zaczerwieniła się gwałtownie. — Cóż to, nie mogę Jackowi ręki uścisnąć? W takiej chwili? Z Fanchette to się całował....

— Tędy ją wiedli! — jęknął Bob zrozpaczony.— A przeklęte baby! Zna go od trzech tygodni i już zazdrosna!

— Proszę cię, Jacku,—mówiła Maren różowa aż po uszy — nie zważaj przez sekundę na głupstwa, które ten drągal wygaduje, bo to oczywiście nieprawda bez sensu... I niechże ci gorąco powinszuję, mój stary...

— Dziękuję, blada hrabino, bardzo dziękuję. Jesteście wszyscy zanadto dobrzy dla mnie. Nie gniewajcie się, mam kompletnie zakręconą głowę. Muszę być sam. Do widzenia.

Uśmiechnął się tak czarująco, że Maren znowu pobladła, i tyle go widzieli. Zniknął z rączością jelenia.

— A nie mówiłem ci? — rzekł Bob bezlitośnie.— Jak teraz wyglądasz? Powiedzieć ci? Określając najgrzeczniej, jak cielę opuszczone przez matkę. Trzymaj się mnie, powtarzam i radzę. Ja cię nie opuszczę. O ile mi się zdaje, wyznałaś przed chwilą w pracowni, że mnie kochasz?.... .

— Boś go bronił. A jeżeli będziesz dalej mnie nudził swoją naprawdę idjotyczną miłością, przeniosę się do innego „mistrza".

— Chciałbym to widzieć—skrzywił się, przymykając oko. — A Kaszymoki? Wyperswaduj go sobie, panienko. On jest bodaj że bardziej dziewicą, niż ty, płowowłosa córko fjordów...

Maren, zarumieniona płomiennie, odwróciła się od niego plecami i czemprędzej wsiadła do samochodu, pomijając wyniosłem milczeniem rozpaczliwe zaklęcia i skargi Boba, „że przez nią, wstrętną cudzoziemkę bez serca, gotów rzucić się pod koła pierwszego lepszego wehikułu i zginąć samotnie".

Nagła chęć Jacka, by w samotności uciec od przyjaciół, wyjaśniała się także miłością. Burzą ukochania porwały go myśli o ojcu. Od ludzi jak najdalej i teraz tylko z nim jedynym! Z nim, najbliższym, serdecznym, który — jakież to jasne — czuwa nad synem z niewidzialnej krainy. Bo to on zesłał sławę i tryumf, od których gorączką biją skronie i mgła łez zasłania spojrzenie. On, „Jeździec w ataku", ułan Władysław Karzymowski...

Jacek stał opodal wejścia na „Most Sztuk". Modrosina szeroka Sekwana nad jej brzegiem, przygniecione cieniem drzew kramy bibljotecznych antykwarjuszy, tak mu zawsze ulubione, w tyle cudowne wspaniałością kolumnady Luwru.

Zamazywał się, niknął ten widok, z całem gigantycznem tłem Paryża. Przed oczami tylko twarz rycerska w uśmiechu świetnej odwagi. „Ułan - ochotnik Władysław Karzymowski poległ śmiercią walecznych w szarży na wieś Długobory." Dwa lata już prawie, jak Nikodem wyjął z dużej urzędowej koperty z pieczęcią Ministerstwa Wojny tę ćwiartkę papieru z kilku linjami maszynowego pisma. Dwa lata, jak Jacek jest sam pośród ludzi. — „Nie sam". — Zaraz oburzył się

na siebie. Ta twarz najdroższa, której nigdy nie widział tak pięknej jak wówczas w chwili pożegnania, towarzyszyła mu odtąd we wszystkich snach i we wszystkich dziennych zadumach. W niej ukochał ojca uczuciem o wiele silniejszem i głębszem, niż miłość, jaką miał dla żywego. (Nieraz przejmowało go to dziwną boleścią). Z tą jakby nową a pożarną mocą umiłowania rzucił się, pod nakazem gwałtownie zbudzonego porywu, do prób i starań, aby postać ojcowską jak najsilniej utrwalić tęsknocie. — „Wymaluję sobie mojego tatusia".

Włożył w te próby cały ogrom synowskiego smutku, wszystek ból nocy przepłakanych w sieroctwie. A zaczął już w parę dni po wieści żałobnej. I potem już bez ustanku, nie opuścił jednej wolnej chwili. Tem tylko żył, więcej niczem. Możeby nie wyżył inaczej...

Tysiącem odgłosów szumiał przy nim gwar wielkiej nadbrzeżnej paryskiej ulicy. Nic o tem nie wiedział. Rozmawiał z ojcem. O ileż otwarciej, niż za jego życia....

— Pamiętasz, jakem cię męczył, tatusiu? Pamiętasz? Najpierw przez to, żeś mnie zostawił. A ja wiedziałem, żeś ty poszedł się bić. Tylkom ci nie mówił. Taka była nasza cicha umowa. Wiedziałem, że mi nie pozwolisz pójść z tobą. Tom czekał. A potem, gdyś ty nie wrócił, to już wojna się skończyła. I potem, pamiętasz? Jakem się modlił i płakał? A nie miałem przed kim się wypłakać. Chyba tylko przed tobą, którego nie było. Choć byłeś, byłeś już inny....

Ojcu i sobie przypominał krwawą zaiste uciążliwość trudów i mękę bezmierną, zanim wreszcie, stanąwszy przed swoim obrazem, powiedział: — „Teraz już dobrze. Już koniec".

A przedtem.... Nie raz, nie dwa i nie trzy darł i palił pracę długich miesięcy, w szlochu najokrutniej samotnym: — „Na nic! To nie ty! Nie zdołam nigdy stworzyć cię takim, jakiego wciąż widzę"!

I znowu od początku, na nowo, ze ściśniętemi zębami, z płaczem i z pasją, w miłowaniu i tęsknej rozpaczy! Prawie dwa lata! Dwa lata takich wysiłków, często tortury. I jakiej! Żeby kto mógł wiedzieć! „Bóg wiedział i ty, tatusiu". Tak, to było całe jego życie. Wszystko inne czemś nieważnem i szarem, że tej szarzyzny nawet pamięć się nie czepiała. Jeszcze rok w kolegjum, jakieś wyjazdy z Nikodemem i ludzie, wszyscy ludzie tak mu nic nie znaczący, jakby nie byli z krwi i z ciała. Jeden Alojzy... poczciwy „bidaka".... Może jeszcze Bob... Tylko ci dwaj widzieli obraz, nim zaniósł go „mistrzowi". Jakże mu wtedy serce tłukło się w piersiach, dziw, że te piersi nie pękły! — „Zobaczymy, mój młody przyjacielu."— Zaś Alojzy... — „Boże wszechmocny, jaśnie pan, nieboszczyk, jakby ożył na tem malowidle. Ale młodszy, urodniejszy! Taki szedł do ślubu! A koń... Trzymajcie mnie, wszyscy święci, przecież to jaśnie pana „Rozbójnica", najukochańsza ona-że wierzchówka! Z tą strzałką na czole i z grzywą rozbechtaną nad uszami, jak tylko ona jedna na świecie.... Ale klacz została w Karzymowicach... Jaśnie pan na wojnie jej nie miał!"

Nie miał. Lecz Jacek pamiętał, że to była klacz ukochana. Zgromił srogo Alojzego za „nieboszczyka". — „Raz na zawsze zabraniam ci tak mówić. Nieboszczyków wogóle niema, a ojciec to już nigdy...."

Tak, nigdy. Cóż jest śmierć? Odejście z tego pola widzenia, które nasz wzrok tu obejmuje, a jaki bezmiar pól innych istnieć musi! Tęsknijcie do nich, oczy.... .

— Tam jesteś ty... i Ania, moja matka.... i ta cudna prababka Włoszka... i pradziad Piotr.... i tylu, których nie znam, a których poznam z pewnością...

Nad Sekwaną błękitniał już zmierzch. W oddali zaczęły błyszczeć różnokolorowe światła. A Jacek trwał w rozmowie „z najczujniejszym swoim strażnikiem, też zdaleka".

— Jak to było strasznie trudno z tą „Rozbójnicą"! Nie dawała, ani rusz, uchwycić się na obraz! Chyba ze sto razy próbowałem, aż nareszcie... I jak mi się obraz wciąż rozrastał! Chciałem najpierw tylko samą twarz tatusia... a potem musiałem całą postać... „W szarży na wieś Długobory".... Nie mogłem namalować tej wsi, bom jej nie widział... Ale ciebie, na koniu! I te chmury wieczorne, bobym przysiągł, że wtedy był wieczór... Rozwiewające się chmury... Czemu mi się zdawało, że te chmury to jakieś kobiety? I tak to zrobiłem! Tylko, że one w kolorycie za blade, za nikłe.... tu jest błąd, „stary" ma rację" Cóż, odrazu nie potrafię wszystkiego.... I już nie umiałbym poprawić... A mimo to wzięli do Salonu! — uderzył w niego pęd radości tak wiosennej, że zaśmiał się głośno najszczerszym śmiechem dziecinnym.

Obejrzał się ze zdziwieniem jeden i drugi przechodzień, a i przechodząca za ślicznym chłopcem, wspartym o balustradę nad rzeką.

— Dziękuję, tatusiu mój jedyny...

Tłum coraz gęstszy. Trącają, patrzą... . Trzeba wracać.....

K O N I E C

CZY WOLNO PORTRETOWAĆ ZNAJOMYCH W POWIEŚCI?

Nieraz zarzuca się jakiemuś pisarzowi, że w utworach swoich beletrystycznych sportretował znajomych, otoczenie. Jest to... zdaniem pewnych krytyków, posługiwanie się materjałem zbyt łatwym, niegodnym wysokich aspiracji. Uważa się przytem, iż tego rodzaju utwory bywają przeważnie natury paszkwilanckiej. Jaki jest jednak w istocie stosunek do tego ciekawego zjawiska? Czy wolno portretować znajomych w beletrystyce?

Pytanie to postawiła redakcja „Die Literarische Welt" pisarzom niemieckim. Wiadomo jest przecież, że często przez literackie opracowanie życia jakiegoś człowieka popełnia się karygodną niedyskrecję, uniemożliwia się mu działanie. Bywa też odwrotnie. Niedawno prasa jugosłowiańska przyniosła wiadomość, że pewien serbski pisarz tak ponętnie odmalował podobiznę cyganki w swojej powieści, że w krótkim czasie stała się niezwykle popularna. Powieść ta wpłynęła bardzo dodatnio na życiową jej karjerę. Widzimy więc, że praktyczny wpływ może być różny. Cóż myślą o tem pisarze?

Henryk Mann, Maks Brod, Herbert Eulenburg, Klabund, Rudolf Bartsch w odpowiedzi na ankietę wyraźnie podkreślili:

— Portretować znajomych wolno.

Czy jest to niedyskrecja? Zależy to od talentu autora. Sztuka pisarska rozstrzyga o poziomie zależności autora od modela. Można przecież ze znajomego głupca zrobić sympatycznego mędrca. Można też z człowieka poczciwego i uczciwego uczynić monstrum moralne. Wszystko więc zależne jest od pisarza. Beletrysta, jak i każdy artysta, musi posługiwać się modelami. Chodzi tylko o to, by starał się wykazać jaknajwięcej dobrej woli, idealizmu, bezinteresowności w stosunku do postaci, branej z natury. Gdy kładzie nacisk na stronę inną — nie idzie mu o sztukę, lecz o sprawy poboczne. I to jest właśnie paszkwil... utwór niegodny pisarza.

Obfitość różnych zdań przynosi inne pytanie: Czy osoby sportretowane w powieści, czy w sztuce teatralnej mogą dochodzić swoich praw sądownie? Prof. dr. Teodor Lessing jest zdania, że prawo powinno chronić przed nadużyciami tego rodzaju. Henryk Mann natomiast twierdzi, że osoby dobrze scharakteryzowane nigdy się nie poznają w książkach o nich pisanych. Niema więc obawy przed sądami. Herbert Eulenberg odpowiada kategorycznie: Nie, nie powinny udawać się do sądów. Niech milczą, lub niech się śmieją — ale skarżyć się do sądów, nigdy!

Sztuka pisarska jest rzemiosłem trudnem i odpowiedzialnem. Człowiek mądry i odpowiedzialny, dobry, biorąc pióro do ręki, wie, iż trzyma najpotworniejsze narzędzie tortur. Rządzi się dobrym smakiem i nie czyni nigdy tego, co jest mu niemiłe. Pamfleciści bowiem, to zawsze ludzie gruboskórni.